ROZMAITOŚCI.

Dnia 19. Listopada **N.er 47.** Roku 1842.

OBRONA MAZAGRANU.

W jeden z tych pięknych wieczorów, które w południowéj Francyi nie są rzadkością, Hugo Lelièvre, wysłużony starszy sierzant, widział całą rodzinę w koło siebie zebraną. Pod drzewami zdobiącemi dziedziniec jego domu i napełniającémi go wonią, wznosiła się ławeczka z darni, a na niéj zasiadł szanowny weteran w gronie dzieci i wnuków, najmłodszego trzymając na kolanach. Obok siedział syn Wiktor, już porucznik w pułku strzelców, który miał rozkaz wyruszenia do Algieru. Wszystkie oczy były zwrócone na starca, który weselszy jak innych dni, zdarzenia lat młodych i wojenne przygody swoje opowiadał.

Właśnie stanął był na wyprawie do Egiptu, którą zawsze z uniesieniem i chlubą spominał, gdy nagle twarz jego przybrała wyraz surowy, oczy się zaiskrzyły, krew mocniéj w żyłach bić zaczęła, i obracając się do Wiktora, w te słowa się odezwał: »Właśnie stoi mi przed oczyma obraz, którego spomnienie jest najważniejsze z całego życia mojego. — Jestto spomnienie piérwszéj miłości, piérwszego współczucia serc dla siebie stworzonych; słuchajcie wszyscy, a osobliwie ty synu, który teraz jako żołniérz, masz serca swego w ciężkich próbach doświadczać—słuchaj powieści najważniejszego zdarzenia w mém życiu.

Staliśmy z Bonapartem i Kleberem w Egipcie — byłoto po bitwie pod Piramidami. Młody nasz wódz okrył się był sławą, która wysoko wynieść go miała. Nieprzyjaciel walczył z rozpaczą; można powiedzieć z bezprzykładném męztwem. Jenijusz naszego wodza, nasza wprawa w użyciu palnéj broni i dobrze użyta lekka artyleryja, bój rozstrzygnęły. Mamelucy uciekli, a część sprzymierzonych z nimi Beduinów, zasłaniających odwrót, uwijała się po nad brzegami Nilu. Nasze ostatnie straże wiele od tych rączych jeźdźców ucierpiały. Ich napad bywał szybki jak piorun, i równie szybką ich ucieczka, która przynosiła goniącym śmierć albo niewolę — umieli bowiem zręcznie wyzywać najwaleczniejszych, a w skoréj ucieczce otaczać ich i rąbać.

Bonaparte poznał niebezpieczeństwo, bo co godzina adjutant zwiastował mu nowe straty. Rozkazał więc dwóm szwadronom strzelców konnych, uderzyć żwawo na nieprzyjaciela. Najmłodszym podoficerem w tym oddziale pułku, ja byłem. Radowałem się sposobnością okazania wodzowi, żem godzien wyższego stopnia, który mi był już dniem piérwéj obiecał.

Wyruszyliśmy i maszerowali wzdłuż brzegów Nilu; wielkie pamiątki przebrzmiałych czasów, ożywiały serca; przed sobą mieliśmy pyszne Kairo ze stem minaretów i gruzami wielkiéj przeszłości — za nami były groby Faraonów, cuda budownictwa, piramidy — a z boku Nil właśnie w blasku srebrzystym majestatycznie toczył wały, a u brzegu wygrzewały się krokodyle na słońcu, i przestraszone naszym widokiem, rzucały się w wodę. Wystawione z pod fal ich łby z zębatemi szczękami i błyszczącémi oczyma, przejmowały trwogą i podziwieniem, i zwracały nasz wzrok na rzékę, pewnie najciekawszą w świecie. Jeszcze źródła jéj kryją się przed okiem badawców, jeszcze jest ona błogosławieństwem dla Egiptu — a jakie pamiątki wielkiéj przeszłości

budzi jéj widok! Tu żyli owi królowie, których wdzięczność ludów policzyła między bogi — tu panował Sezostrys, najmędrszy z Faraonów, tu w poniżeniu i ucisku żył lud izraelski, lud wybrany od Boga, tu się Mojżesz urodził, tu...

Właśnie to mi się snuło po głowie, gdy trębacz naszego szwadronu dał nagle znak, że mamy stawać w szyku i oczekiwać nieprzyjaciela.

Pas ciemny widać było z daleka, i wnet postrzegliśmy w nim błyskające pałasze i włocznie. Major dowodzący nam, kazał się zatrzymać. Stało się tak, nieprzyjaciel się zbliżył, i nagle wpadł na nas z przerażającym wrzaskiem. Straszna walka powstała, Beduini, synowie puszczy, zręcznie umieli włocznią wywijać i ciskać ją; wielu naszych legło, nimeśmy jednego z nich ranić mogli. Nasz major Dessain, którego Francyja wiecznie czcić będzie, dokazywał cuda waleczności, ale zwycięztwo skłaniało się na stronę Beduinów. Mnie koń uniósł w bój najciaśniejszy. Właśnie byłem ranił pałaszem jednego nieprzyjaciela, aż krew z szyi jego, którą gołą nosić zwykli, na mnie bryznęła, gdy jeden ze starszych, z pistoletu położył trupem wiernego mojego konia, i przymusił mnie walczyć odtąd pieszo. Łatwo było nieprzyjacielowi koniem na mnie nacierać. Zostałem cięty w ramię, pałasz wypadł mi z dłoni; w tém zarzucono mi sznur na szyję, obalono mnie na ziemię, ale zaraz dwóch jezdnych podniosło mnie na konia, którego jeden z nich za uzdę z ciżby wyciągnął i wraz ze mną puścił się pędem w pustynię.

Boleść i pragnienie były cierpieniem od którego tylko śmierć uwolnić mnie mogła, i wyglądałem jéj bez obawy. Nazajutrz rano stanęliśmy w oazie—byłto kawał ziemi wonięjący kwiatami i zielem, który zwilżały strumyki, a nad niémi wznosiły się majestatycznie palmy. W koło otaczało oazę gorące piaskowe morze pustyni, poruszane tylko niekiedy wichrem, który prochem, podobnym do zatrutego oddechu morowéj zarazy, zawiéwał wędrowca. Z bolesną raną nie obwiązaną, z dokuczającém pragnieniem, wszedłem w ten raj. Zdjęto mnie z konia, położono pod palmą na chłodnéj murawie, i podano mi wody z blizkiego źródła; z utrudzenia sen mnie opanował.

Raz bolesny budzi mnie ze snu — Arab stoi nademną i wznosi kij—twarz jego pała gniewem, a uśmiéch szyderczy okazuje radość, którą mu sprawia moje ciérpienie.— »Psie chrześcijański«, zawołał w języku, którego już zaczynałem rozumiéć, »giń pod kijami!« — i chciał mnie znowu uderzyć, gdy Marabut, łatwy do poznania po turbanie i świetnéj broni, zjawia się między nami, wyrzeka słowo przebaczenia, i wzruszonym głosem tak się daléj do mnie odzywa: »Chrześcijaninie! zasłużyłeś na śmierć: jak rabusie wpadliście do kraju naszego; ale ja chcę ocalić twoje życie. Śniło mi się, że w tym obcym znajdę wybawiciela mojéj córki, która leży chora. Chrześcijaninie, powierzam ci ją, uzdrów dziécię moje!« — Trudne zadanie, ale mi się szczęśliwie powiodło.

Musiało w tém być boskie zrządzenie, mówił daléj weteran po krótkiéj przerwie. Uczyłem się medycyny i zajmowałem się naukami przyrodzonémi. Ojczyzna powołała mnie była od lanceta do pałasza. Udałem się za starcem, postrzegł moją ranę, kazał ją niewolnikowi obwiązać w sposób, który ja sam podałem. Wszedłem potém pod namiot, w cieniu śrébrzystéj palmy rozbity; tu spoczywał anioł, Semiramis, córka możnego szejka Selima ben Assa. Właśnie była w osłabieniu, które po mocnéj nastąpiło gorączce, z pod śnieżnéj skóry wyglądały plamy szkarlatyny, która zatrzymana wewnątrz, śmiercią groziła. Robiłem co nakazywała nauka, znalazłem w oazie potrzebne mi zioła, źródło dostarczyło środków uléczenia. Lékarstwo i okładanie zimną wodą, dały wyjść na wiérzch wysypce, odtąd choroba odbywała bieg należyty, i dziéwica ocalała. Co za widok, gdy się raz piérwszy podniosła z posłania! smukła jak cedry Libanu, piękna jak Wenus Urania — oczy jéj świéciły jak słońce, a gęste sploty czarnych włosów spadały na szyję łabędzią. Lat miała szesnaście i wszystko w niéj było miłe i urocze. Z nieporównanym wdziękiem wyrzekła kilka słów dziękczynienia, a to co mówiła o mnie ojcu, ujęło go dla mnie jeszcze więcéj. — »Chrześcijaninie«, rzekł do mnie, »należ do nas. Wyrzecz się chorągwi

swego narodu, który się zaparł Boga. Niech słowa proroka będą dla ciebie słowami życia; przyjm naszą wiarę, a znajdziesz ojca we mnie.«

Trudny to był wybór — wiara moja się chwiała—prosiłem o czas do namysłu, a codzień dziewica stawała mi się droższą i przychylniejszą, byłem szczęśliwy piérwszą miłością; ona kochając mnie, chciała i za grobem otworzyć mi niebo. Uczyła mnie wybranych miejsc z koranu i radowała się postępami, które czyniłem w arabskiéj mowie.

Przyszła uroczystość, którą pokolenie jéj obchodzi corocznie; w tym dniu dała mi pierścień kosztowny, a ojciec wyznaczył dzień, w którym los mój miałem rozstrzygnąć. Srogą walkę wytrzymało moje serce, szło o męczeństwo miłości i wiary — miałem odwagę poświęcić wierze miłość i życie, i już zachodziło wieczorne słońce z którego wschodem nazajutrz miałem wyrzec stanowcze słowo, gdy nagle oddział Francuzów pod dowództwem Klebera, spadł jak lawa wulkanu na oazę. Beduini ulegli przemocy. Szejk Selim ben Assa dostał się w niewolę. Moje wstawienie się, ocaliło mu życie i wolność, ale córki jego nigdzie znaleźć nie było można — zniknęła przy piérwszém najściu nieprzyjaciela.

Niepodobna wypowiedzieć żal nieszczęsnego ojca i mój. Napróżno zadawałem sobie pracę, aby wyśledzić pobyt córki mojego dobroczyńcy. Wnoszono tylko, że wierny koń uniósł ją z niebezpieczeństwa bitwy i że się przyłączyła do karawany, która corocznie z krajów barberyjskich ciągnie témi stronami do grobu proroka i wraca po dopełnionéj świętéj ofiarze.

Lata, długie i pełne wypadków lata, przeminęły; odtąd podzielałem sławę i niebezpieczeństwa mojego wodza, a gdym dla ran musiał wystąpić sierżantem z jego staréj gwardyi, poznałem piękną i cnotliwą dziewicę, która została moją żoną a waszą matką. Drogą mi jest jéj pamięć; ale i piérwsza miłość dla Semiramidy, żyje niewygasła w jéj miłości i nie zatarta w mojéj pamięci.

Po wielu usiłowaniach dowiedziałem się, iż spaniały naczelnik Beduinów, wojownik pustyni, Semiramidy ojciec, Selim ben Assa, jest Marabutem i szejkiem swego pokolenia, które mieszka za Atlasem, i rozciąga się aż pod Algier.

Tam to, mój synu, dodał obracając się do Wiktora, ciebie powinność i sława powołuje. Walcz bronią, którą ci do rąk podaje król i ojczyzna, jak bohatér, jak Francuz. Bądź wojakiem w pięknem słowa znaczeniu, ale pamiętaj być oraz chrześcijaninem i człowiekiem. Prawdziwa sława tylko cnocie towarzyszy. Wyprawa algierska wyrówna egipskiéj w niebezpieczeństwach i trudach; bądź odważnym, jak my byli, ale w zapale męztwa nie zapominaj, jak ludzkość i litość dla pokonanego nieprzyjaciela, uszlachetnia odwagę. Będziecie mieć do czynienia z nieprzyjacielem mężnym, fanatycznym i chytrym; niebo pod którém on walczy, może dla was być straszniejsze od jego broni. Pokonaj synu te niebezpieczeństwa wstrzemięźliwém życiem. Byłeś dobrym obywatelem i rzemieślnikiem; bądź teraz dobrym żołnierzem i oficerem.

Tu głos starca żywsze okazywał wzruszenie, i oko nowym ogniem zatlało, gdy mówił daléj do syna: Gdybyś kiedy znalazł Selima, jego syna lub kogo z krewnych, staraj się wrazić nieprzyjacielowi cześć, a dla pokonanego bądź spaniałym. Gdyby ci się udało obaczyc Semiramidę, uczcij w niéj opiekuńczego ducha twojego ojca, i oddaj jéj albo jéj krewnym pierścień, który ci tu daję. Jest w nim na kosztownym rubinie wyryte pismo arabskie, a obrączka wystawia węża, symbol wieczności. A teraz żegnam cię — jutro rano twój pułk udaje się w pochód. Niech ci cnota będzie przewodnikiem, a towarzyszem szczęście! — Po tych słowach wręczył weteran pięknemu młodzieńcowi pierścień, uścisnął go czule, i złożył błogosławiąc dłonie na jego głowie.

Kilka miesięcy upłynęło od tego wieczora. My przenieśmy naszą powieść do Afryki — do Algieru, a naszą uwagę zwrócimy na pochód wojsk francuzkich. Wojnę rozpoczęto na nowo. Abd-el-Kader rozwinął chorągiew do boju, i zaczyna się wyprawa, straszniejsza od wyprawy francuzkiéj do Egiptu. Wojsko francuzkie uznało fizyczną i moralną potęgę nieprzyjaciela; uzbraja się odważnie i z ufnością do walki z roztropnym i walecznym Abd-el-Kaderem.

*

Byłoto na początku roku 1840; naczelny wódz Francuzów odbywał właśnie przegląd całéj czynnéj armii. Okazał się w całym blasku swéj godności. Znaki honorowe zdobiły pierś jego. Przy jego boku jechał Jussuf Bej, sławny syn kupca z Marsylii, którego dziwne losy tak rozgłosiły dzienniki francuzkie, że nas czytelnik od ich powtarzania tu uwolni.

Piękny to mężczyzna, Jussuf Bej. Żywe jego oko i czarna broda, ani w miastach ani w pustyni równych nie mają. Uniform od turbana aż do safijanowych bucików ze złotémi ostrogami, błyszczą złotem i drogiémi kamieniami. Jechał na berberyjskim ogierze. Gdy go postrzegły Spahi, których jest majorem, wznieśli okrzyk radości i wywijali po nad turbanami damasceńskiémi szablami. Zdawało się, że dzielny rumak powitanie swego jeźdca zrozumiał, bo zarżał z radości i dumą.

Spahi składają najpiękniejszy pułk jazdy; może równego nigdy już nie będzie na ziemi. Czerwone kurtki oryjentalnego kroju, gęsto wyszywane sznurkami złotémi, śrébrnémi, czerwoncmi i niebieskiémi, na tém białe jak śnieg płaszcze wełniane, lekkie i cienkie jak pajęczyna, po wiérzchu drugi płaszcz szkarłatny, szérokie u kostek sznurowane spodnie, safijanowe buciki z ostrogami, wysokie turbany, tureckie siodła z wysokiém w tyle oparciem, długie karabiny, kosztownie nabijane śrébrem i perłową macicą pistolety, i krzywe damasceńskie pałasze, stanowią uzbrojenie i strój Spahów. Nic z nimi porównać się nie da, gdy ruszą na arabskich koniach, płaszcze powiéwają z wiatrem, a słońce odbija się od stalnéj broni. Najwięcéj jest między nimi krajowców, ale są i Mulaci i Europejczycy. Z uniesieniem kochają Jussufa, który z całéj duszy sprzyja Francuzom i za to został późniéj bejem Konstantyny. Kiedy spokojnego władania tym krajem dostąpi, Bogu wiadomo; teraz jeszcze zostaje Konstantyna w posiadaniu jego dziewierza, sławnego Achmeda Beja.

Za Spahami stali strzelcy konni afrykańscy, pułk lekkiéj jazdy, z ochotników złożony. Ich ubiór stanowi czapka ułańska, krótki szafirowy surducik, jak u pruskich oficerów ułańskich — na trój-barwnéj przepasce wisi pałasz, połowa pułku miała krótkie strzelby, druga pistolety. W tym pułku służył za pod-porucznika młody książę Rovigo, syn byłego wielko-rządcy Algieru. Obok niego jechał syn naszego weterana, podporucznik Lelievre, serce w nim biło odważne, a cała budowa ciała okazywała siłę. Na palcu błyszczał znany nam pierścień.

Pora roku już pozwalała wojnę rozpocząć. Zbytni upał ustał, powiéw samum mniéj był zabójczy, dészcze ochłodziły powietrze i wrzące piaski. — Już od kilku dni wojsko było w pochodzie. Arabowie ufni w szczęście Abd-el-Kadera, i już w nim przyszłego upatrując Sułtana, szli ślepo za jego rozkazem. Wszystkie plemiona po za pasmem gór Atlasu, garnęły się do niego z przychylnością, zaufaniem i pobożną czcią, widząc w nim cichego a silnego bohatéra, godnego następcę Kalifów.

Abd-el-Kader posiada wszystkie własności wodza, żołniérza i chytrego polityka. Drugi to Ingurtha, trafny w sądzeniu, zaglądający głęboko w serca i plany swoich przeciwników, umiejący spokojnie czekać rozstrzygającéj chwili, wywołać ją nawet i użyć jéj dzielnie. Pałających chęcią boju Francuzów umié mordować pochodami i utarczkami, podawać im nawet sposobność małych korzyści, aby późniéj tém zapamiętaléj biegli na zgubę.

Na piérwszym celu jego nienawiści, są Spahi i afrykańscy strzelcy, w których on jako prawowierny Muzułman uważa za odszczepieńców, zdrajców nauki proroka, i razem nieprzyjaciół ojczyzny. Ci więc w połączeniu ze strzelcami i woltyżerami, u których służył nasz Wiktor, nie jeden już bój byli stoczyli, już Wiktor miał sposobność pokazania odwagi i przytomności, a jenerał mianował go adjutantem. Miesiąc już odtąd upłynął, i już świéciło łagodne słońce lutego.

Po jednym z owych pochodów utrudzających, w których wojsko octem tylko, ale tylko na chwilę, palące pragnienie uspokaja, kiedy konie od gorącego piasku, który ostrémi krańcami wbija się w kopyto, kuléć zaczynały, przybyli nakoniec Francuzi do Bivuaku Mazagran, gdzie spodziéwali się u słabéj studni napić się i konie napoić, a gdzie zastali zburzoną już poczęści oazę. Jazda, piechota, krajowcy, Francuzi, żołniérze wszelkiéj broni, gotowali się do blizkiéj walki, oficerów i żołniérzy spajał węzeł zgody, miłości i zaufania — stary duch, który niegdyś ożywiał legiony francuzkie pod Piramidami, odżył w nich w téj chwili. Francuz wyrzekł się próżności, Arab dumy, obadwaj kochali się w uczuciu powinności i wzajemnego szacunku.

Cudnie piękny młody oficer, jadąc obok afrykańskiego dowódcy Spahów, zwidza przednie straże obozu. Jestto porucznik Lelievre, adjutant jenerała. Zdatny ten i światły oficer z niezmordowaną pilnością uczył się języków wschodnich, i umiał z krajowcami rozmawiać. Umiał szanować ich zwyczaje, i zaufaniem, ich wzajemne zaufanie pozyskał. Właśnie zakręcali po za piaszczysty pagórek, gdy jeździec arabski na dzielnym arabskim koniu przelatywał w całym pędzie, łuk napiął, i strzała padła u nóg Wiktora.

Wiktor strzelił doń z pistoletu, ale tak szybko odjechał, że go już kula nie dosięgła. Wtedy podniósł z ziemi strzałę, i postrzegł, że był przy niéj uwinięty papier—rozwinął go i czytał. Po francuzku było napisano: »Bądź naszym. Dzielność twoja znajdzie tu nagrodę, książęca cześć czeka przyjaciela. Jedź za tym, który wypuścił tę strzałę, ón cię zawiedzie do obozu przyjaciół, którzy ci zaufanie swoje oddadzą.« — »Czy tak?« zawołał Lelièvre; »zachęta do zdrady. Nie! dla wszystkich koron tego świata, Francuz nie zdradzi swego króla, swojéj chorągwi, swego narodu i swojéj sławy! A ty?« spytał dowódcę Spahów. — »I ja zostanę z wami«, odpowiedział Arab. »Głęboko mnie dotknęła duma Abd-el-Kadera. Chciał się rozstać ze mną—rozstaliśmy się więc na zawsze. Prawda, że wielkie nagrody czekają renegata. Bogaty jest władca pokolenia mieszkającego u stóp Atlasu, bogaty w złoto, kamienie, konie i wielbłądy, ale razem posiada coś droższego nad wszystko złoto całego świata, bo najpiękniejszą z dziewic jest jego córka, jedyne jego dziécię, Fatyma. Jestto kwiat rajski, anioł na ziemi. Spokrewniona z Wielkim Emirem, a jéj matka, piękna Semiramis, była najszlachetniejszą z niewiast, dobrym duchem pustyni, z tego pokolenia Kalifów, do którego i Abd-el-Kader należy. W istocie, za taką cenę możnaby...« — »Ustąp odemnie kusicielu!« zawołał z gniewem Wiktor, a w téj chwili zbliżył się do nich ordynans z rozkazem stawienia się natychmiast u naczelnego wodza.

Tam już cały sztab główny był zebrany. Oficerowie francuzcy pragnęli otwartego boju, bo im się uprzykrzyło to wieczne napastowanie bez stanowczéj bitwy, a spoczynek w niezdrowym obozie więcéj ludzi zabijał, jak w bitwie polédz mogło. Jednomyślnie postanowiono zaczepnie działać przeciw nieprzyjacielowi, którego ogromne tłumy ze wszystkich stron co chwila mogły napaść na wojsko francuzkie: »Tylko silne z naszéj strony natarcie, może los nasz rozstrzygnąć«, mówił major Thiery. »Znam ja tych nieprzyjaciół jeszcze od czasu, gdyśmy się z pod Konstantyny cofali. Byłem wtedy w lekkim pułku piechoty. Pamiętam jak dziś; byłoto 24. listopada, dzień był zimny, dżdzysty, byliśmy zewsząd otoczeni. Przednie straże nie mogły się naprzód wysunąć, a im daléj my się cofali, tém więcéj rosła odwaga i wściekłość nieprzyjaciół. Wpadli z końmi na nasz ziejący ogniem czworokąt. Piękne te, zmyślne stworzenia, zdawały się mieć rozum; spiąwszy się dęba, przedniémi kopytami wytrącały naszym żołniérzom broń z ręki; a com sam widział, powiém. Koń jeden podniósł swego rannego jeźdca z ziemi, i wyniósł go z ciżby bojowéj. Utraciliśmy zwycięztwo, tylko sława nam została, a teraz przyszedł czas, wynagrodzić stratę. Ten sam śmiały dowódca, który wtedy jazdę nieprzyjacielską na nas prowadził, i teraz jest z Abd-el-Kaderem. Zowie się Assa ben Selim, co znaczy: syn bohatéra Selima, który nieraz szczęśliwie, a zawsze ze sławą potykał się niegdyś z Bonapartem, będąc wtedy sprzymierzeńcem Mameluków, do których się w powrocie z pielgrzymki do Mekki był przyłączył.« Ta nazwa zwróciła uwagę Wiktora, i silniéj zaczęło bić w nim serce, gdy sobie pomyślił, że syn przyjaciela ojcowskiego może lada chwila z nim się zmierzyć.

Nazajutrz gdy rozkazy do bitwy były wydane, nieprzyjaciel się cofnął. Porucznik Wiktor otrzymał polecenie ze stem ludzi z 10téj kompanii lekkiego batalijonu piechoty, zająć jak najspieszniéj wzgórek przy Mazagran, już w roku poprzedzającym obwarowany palisadą i lekkim murem z kamienia, i na nim w razie nieprzyjacielskiego napadu, bronić się do ostatniego. Wzgórek ten miał zasłaniać działanie głównego wojska, które miało nieprzyjaciela okrążyć, i odciąć go od góry Atlas, w którego wąwozach miał nagromadzone swoje wojenne zapasy.

»Zasłuż sobie panie poruczniku krzyż legii honorowéj«, mówił do niego jenerał. »Będziesz miał do walczenia z przykrém położeniem. Niech ta walka umocni cię na wszystkie przyszłe bitwy, jak w ogólności wyprawa afrykańska jest dla nas szkołą dalszych czynów. Tu trzeba osobistą odwagę łączyć z wojennémi wiadomościami. Francyja umié cenić zasługę, a waleczny oficer jest pewnym chwały, którą w narodzie naszym jednają czyny odwagi.«

Porucznik Lelièvre wyruszył więc ze swoim oddziałem, w towarzystwie podporucznika i lékarza, z dwoma trębaczami. Wnet pagórek został zajęty, ile możności wzmocniony, i tu oczekiwano nieprzyjaciela z silném postanowieniem umrzéć albo zwyciężyć.

Następnego poranku postrzeżono obłok kurzawy, posuwający się od góry Atlas ku równinie. Ten obłok rósł jak lawina, i wnet zdało się jakby morze kurzawy oblało pagórek. Nim się nieprzyjaciel przybliżył, przybyło załodze w pomoc działo i trochę piechoty, tak, że liczba sposobnych do broni podniosła się do 125.

Tysiące teraz nieprzyjaciół widziéć się dały. Roztropnie młody oficer rozstawił swoją siłę i tak przemówił do żołniérzy: »Zabłysnął nam dzień chwały; wybiła godowa godzina, która ma nas zaślubić ze sławą. Jesteśmy Francuzi, jesteśmy synami tych bohatérów, którzy pod dowództwem bohatérów walczyli. Niech nas uczci po-

tomność, jak my czcimy mężów chwały godnych. Przysięgnijmy, że będziemy wierni aż do śmierci królowi, który nam zaufał, naszéj chorągwi i sławie.« Wzniósł w górę chorągiew, a wszyscy zawołali jednogłośnie: »Przysięgamy!«

Tu zatknął chorągiew przy armacie, stanął na najwyższym punkcie okopu z kąd obroty nieprzyjaciela najlepiéj mógł uważać, i wyciągnął szpadę ręką, którą zdobił pierścień, pamiątka ojca. Trzy dni nieustannie naciérał nieprzyjaciel, którego liczba nieustannie rosła — dzień czwarty miał być stanowczym, bo już nieprzyjaciel wszystkie siły połączył.

Jak potok wezbrany napływał nieprzyjaciel. Miał i konnicę i piechotę rozmaicie uzbrojoną w długie, piękne strzelby i krótkie sztućce, włocznie i krzywe pałasze, sztylety i pistolety. Z okropnym krzykiem: Ałłah! przypuścili piérwszy szturm, myśląc, że z konnicą będą mogli wedrzéć się na pagórek; tu przeszkodziły palisady i przyjął ich grad z ręcznéj broni. Padali ludzie i konie, jeźdcy zsiedli z koni i hurmem wdziérali się naprzód. Zdawało się, że jak olbrzymy przeszłości wyrastali z ziemi, że jak łby lernejskiego potworu ucięte, odrastały! Każda przerwa w szeregach sprawiona kulami Francuzów, zapełniała się natychmiast. — Nacisk obalał palisady. Działo nabite kartaczami, całe masy rzucało o ziemię; ale po rannych i trupach, nowy następował nieprzyjaciel i tworzył wał, który wysokością swoją wyrównał, a nawet przewyższał pagórek. Tu rzucili się w całém znaczeniu tego słowa na stawiące im opór bagnety i walczyli pałaszem i handżarem (sztyletem). Zręczność Francuzów przemogła nad siłą, a ich zimna krew nad fanatyczną zaciętością. Gdzie największe zagrażało niebezpieczeństwo, tam Lelievre był obecny. Jego przykład zachęcał, zapalał. I z jego ludzi wielu było rannych. Ci leżąc, walczyli z natężeniem sił ostatnich, a żaden ich strzał nie chybiał. Byli tacy, co w tém położeniu zabili kilku nieprzyjaciół, którzy już o niewiele kroków do nich się zbliżyli. Płaszcze Arabów zajęły się ogniem, i była obawa, aby tym sposobem ogień nie dostał się do wozu z amunicyją. W téj chwili dostrzega Lelievre dowódcę nieprzyjacielskiego, który postawą, świetnością broni i bohatérską odwagą wszystkich przewyższał. Pyszna demeszka błyskała w jego prawicy, lewicą uchwycił stérczący belek palisady i chciał właśnie po nim wskoczyć na górę, gdy go przeszyła szpada Lelievra, a on wstecz upadł. »Ałłah! Ałłah!« zawołały Araby, widząc jego upadek. Wrzawa bitwy przeszła w jęki żałośne i po trzy-godzinném naciéraniu począł nieprzyjaciel ustępować. Francuzi z wałów słali śmierć za uchodzącémi: »Stójcie!« zawołał Lelievre, »nie przeszkadzajmy ich ucieczce i oszczędzajmy amunicyi, aby nam nie brakło, gdyby nieprzyjaciel wrócić zechciał. Sroga walkę odbyliśmy, jeszcze sroższa nas czeka.«

Właśnie chciał nieprzyjaciel na nowo uderzyć na Francuzów, gdy nań inny oddział napadł z boku. Wódz naczelny słysząc z dala huk strzałów, kazał walecznemu drugiemu pułkowi, pośpieszyć załodze Mazagranu w pomoc. Ten z bagnetem natarł na nieprzyjaciela. Tu już mąż spiérał się z mężem, osobliwie tam, gdzie walczyli woltyżery paryzcy i z bezprzykładną walecznością parli nieprzyjaciela.

Już mrok wieczorny zapadał po raz czwarty, kiedy bitwa została rozstrzygnięta. W rozsypce uchodził nieprzyjaciel w góry. Mnóstwo trupów zaległo pobojowisko, rannych, ile mogli unieśli z sobą. I Lelievra oddział liczył wielu rannych, i on sam dopiéro się postrzegł, że go drasnęła kula z pistoletu. W zapale bitwy nie czuł bolu, który mu teraz począł dokuczać. Zszedł więc z pagórka, u którego podnóża wytryskało źródełko, rzadkie w téj okolicy. Tu gdy się zbliża, widzi leżącego Marabuta, którego ranił i walczącego ze śmiercią, bo mu więcéj zaszkodził upadek z wałów, niż rana zadana od szpady. Obok stał młodzieniec, piękny jak bóstwo. Oficer pozdrowił ich z daleka, zawołał, iż mogą być bez obawy, gdyż Francuz w rannym nie nieprzyjaciela, ale tylko człowieka widzi. Sam podniósł rannego, a gdy to czynił ranny postrzegł pierścień na jego palcu i wołając: Ałłah! schwycił rękę, przyciskał ją do serca i słabnącym głosem pytał: »Z kąd masz ten klejnot Chrześcijaninie? To najdroższa pamiątka w naszym pokoleniu, to pierścień mojego ojca, którego niebo do swojéj chwały powołało. On przebywa w raju z córką Semiramidą, moją siostrą, a matką téj dziewicy, która chciwa czynów, podzielała nasze niebezpieczeństwa i trudy, i narażała życie, aby moje ratować, albo jeźli taka wola Ałły, w ostatniéj chwili pocieszyć. Spojrzał Lelievre na młodego wojownika i poznał, że to dziewica najpiękniejsza z dziewic, jako huryska raju. »Jesteś pod naszą opieką« — rzekł do Selima, »pierścień ten dał twój ojciec mojemu, gdy w Egipcie był lékarzem Semiramidy. Oby i ciebie nie opuścił anioł zdrowia i życia; jeźli możesz być uzdrowiony, znajdziesz u nas ratunek jaki dać może nauka. Pierścień ci oddaję, dziewicę biorę także pod moję obronę, a jeźli żąda, wolno jéj wrócić do swoich.« — »Dla mnie«, odpowiedział Selim — »kwitnie życie już tylko w krainie poległych, w raju proroka, wkrótce tam stanę, daj mi pierścień, bo ze mną gaśnie

rod Assa. Chrześcijaninie, powiédz swoim towarzyszom, że niebezpieczną rozpoczęli walkę, bo wódz, który nas prowadzi, Abd-el Kader, bohater bohatérów jest ramieniem bożém. Możecie odnieść nie jedno zwycięztwo, ale potęga wasza złamie się o naszę stałość, i w krwi waszéj znajdziemy zemstę. Niech Francyja z nami nie wojuje, niech utrwali pokój wewnętrzny u siebie, a będzie dość wielką i szczęśliwą. Mnie woła prorok, spieszę do niego.« Po tych słowach pocałował pierścień, przycisnął go do serca, i skonał. Dziewica w żalu ściskała martwe ciało, i śród łez wzrok jéj padł na wspaniałego nieprzyjaciela i zwycięzcę, i zwiastował mu, że niéma ku niemu nienawiści. On porwał jéj rękę, całował ją z uniesieniem, dłoń zadrzała w jego dłoni, a występujący na twarz rumieniec był zwiastunem obudzonej piérwszej miłości. »Rozstajemy się na zawsze«, rzekła Fatyma, »teraz poznaję wolą przeznaczenia, pierścień któryś oddał memu wujowi, był niegdyś piérwszym klejnotem naszéj rodziny. Mój dziad, szejk Selim-ben-Assa dał go wybawicielowi mojej matki. Prawdęś powiedział i spełnione jest proroctwo pobożnego owego Marabuta, że pokolenie mężkie Selima wtedy zgaśnie, gdy pierścień, który nosił jeden z wielkich Kalifów, będzie na powrót w posiadaniu tego pokolenia, a syn starszego pokolenia, roztropnością i męztwem wzniesie się nad braci. Tym synem starszego pokolenia jest Abd-el-Kader. Nadaremnie dumni Frankowie tępicie na nim broń swoję, same zwycięztwa będą waszą zgubą. Zawrzyjcie z nim pokój zaszczytny, szanujcie narodu wiarę i niepodległość, a czeka was piękniejsza sława, niż z niepożytecznego boju. Ciebie niech strzeże Ałłah, i tego, który ci dał ten pierścień. Pokój tobie i jemu. Bywaj zdrów. Moje życie odtąd poświęcone samotności i pobożnemu rozmyślaniu.« To rzekłszy, wskoczyła na koń, który przez tłum przecisnął się do swojéj karmicielki; spiął się, zarżał radośnie i dumny z ciężaru, który dźwiga, uniósł ją w góry. — Okryty sławą, połączył się Lelièvre z główną armiją. Teraz się dowiedziano, że miał do walczenia z 12,000 Arabów. Wykonany był czyn, nad który świetniejszego Piramidy nie widziały. Ale wyprawy jeszcze nie skończono i zwycięztwo się chwiało. Lelievre jest teraz sztabowym oficerem i oficerem legii honorowéj. Lecz cicha żałość tkwi w jego sercu, bo najpiękniejsza z dziewic, oddalona od niego, oddalona na zawsze, jeżli ich dusze nie połączą się z sobą w krainie błogosławionych, miłością trwalszą i wyższą od ziemskiéj! — Cała Francyja składała się na wzniesienie pomnika obrońcom Mazagranu, a izby prawodawcze ogłosiły ustawę, mocą któréj po piérwsze uznają, że załoga Mazagranu zasłużyła się dobrze ojczyźnie. Po drugie: Batalijon afrykański mieć będzie na chorągwi wypisane złotémi czcionkami: *Obrona Mazagranu 1840 pod dowództwem kapitana Lelièvre.* Po trzecie: Sztandar, który powiewał na okopie, pozostanie w kompanii 10. przyozdobiony uroczyście krzyżem legii honorowéj przez wielkorządzcę Algieru.

ZE LWOWA.

Wszystko ma swoją wiosnę, a wiosna każda ma swoje kwiaty — i każde życie, i ludzkie i narodów ma swoją wiosnę, a śród wiosny kwiaty. Kwiat ten wiosniany chociaż uwiędnie z jednostką życia, nigdy on nigdy z jednostką nie ginie — on nieśmiertelny, jak ten wielki ogród, gdzie ludzkie czyny spólnie się gromadzą i wieczném życiem w historyi się kwiecą.

I znam w tym wielkim ogrodzie jedno wielkie ziele. Ziele to, z siebie trzy odrośla puszcza, a każde innem kwieciem przyurocza. To ziele wielkie jak dusza narodu, dawne, jako życie ludzi, wieczne, jak karta przyszłości. — Ziele poezyja.

Te kwiaty pełne jak harmonija tonów, żywe jak w tęcze ujęte ręką mistrza farby, święte natchnieniem, jako wieszcze słowa. Muzyka — Malarstwo — Wieszczba. I odkąd słońce dnieje, i gwiazdy nocują, zawsze życia tych kwiatów strzegą opiekuńcze duchy. — Muzyka — Malarza — Wieszcza.

O cóżto za radość wżywić się w ten naród, gdzie w jednéj chwili trzy te kwiaty kwitną. — Trzy nieba wiecznie nieskończonych uczuć w przelocie życia dzieci, młodzieńców, męży i starców; trzy nieba marzeń, miłości i pieszczot, które się tulą do życia dziewic, kochanek i matek; trzy nieba w całości muzyki, malarstwa i wieszczby w ówczas jednem znieboione sklepieniem — Poezyją, odłączają nas od ziemi, i wiążą duszą do siebie.

Bo czyjeż-to uczucie i myśli oparły się sile gry Lipińskiego, i nie uleciały z nim na te manowce marzeń, gdzie on jak Farys do woli swéj buja!

Komużto Rafał, Michał Anioł, Rubens i tym podobni mistrze nie wpromienili w duszę téj saméj poezyj, którą natchnieni w obrazach swoich nam zostawili!

Kto nie ukląkł przed Bogiem, kiedy się wieszcz modli! — Jedno z tak miłych marzeń sprawił mi, podczas mego pobytu w Wiedniu, obraz św. Magdaleny, pęzla pana Maes z Rzymu. — Obraz ten wystawiony na publiczną widownię w Volksgarten, w sali towarzystwa sztuk pięknych, gromadził w około siebie nieprzeliczoną ilość widzów, a sława pana Maes rozeszła się po Europie.

Dziś obraz ten jest własnością hrabiego Breuner.—

Nieraz żałowałem mocno, że dotąd podobny utwór nie wyszedł z pod ręki Polaka, i często nasuwała mi się ta smutna myśl, że jeszcze wiele lat upłynie, zanim ten poetyczny żywioł w życie naszego narodu z tą siłą przejdzie, z jaką się u wielu innych ustalił.

Ale z jakąto radością pospieszam donieść, że właśnie téj, niezrównanie upoetycznionéj św. Magdaleny wizerunek, najwierniej naśladowany wkrótce u pana Galińskiego przez czas niejaki wystawionym będzie. — O ile nas ziomek Tysiewicz swoją niezmordowaną gorliwością w naśladowaniu oryginałowi wyrównał, świadczą pisma zagraniczne — *Allgemeine Zeitung*, Gazeta pragska, *Allgemeine Theater-Zeitung.* — Z tych ostatnia w Nrze 150, w ten sposób się wyraża: »W tym czasie wystawiono w handlu muzykalnym p. Paterno, obraz olejny św. Magdaleny — naśladowany z oryginału mistrza Maes z Rzymu. — Wrażenie, jakie to rzadkie zjawisko na umysłach wywierało, zgromadzało ze wsząd mnóstwo ciekawych, tudzież znawców i miłośników sztuk. — Nieustanny natłok oglądających wstrzymał wszelką czynność w spomnianym handlu, i dla tego Tysiewicz odebrał ten swój ze wszelką znajomością sztuki wykonany obraz i wystawił go w swojem pomieszkaniu na widok publiczny. Rysunek, wykonanie i gra farb obrazu Tysiewicza, godne oryginału tyle w Volksgarten podziwianego.« — W handlu pana Paterno, znajduje się teraz tenże sam obraz w rozmiarze 18calowéj długości, którą Tysiewicz swoją mistrzowską ręką *à la Aquarelle* wykonał. — Po wystawieniu obrazu świętej Magdaleny na publiczną widownię we Lwowie, nie omieszkam jeszcze kilka moich uwag nad tymże obrazem i nad malarstwem, szanownej publiczności udzielić.

F. X. Abancourt.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 46. i obejmuje:

1) O sposobie rozpoznawania gatunków ziemi ornéj i kilka słów o uprawie roli, przez Teodora Torosiewicza. (Dokończenie). 2) Urywkowe uwagi nad gospodarstwem wiejskiém. (Dokończenie). 3) O chowie koni. (Ciąg dalszy). 4) O fabrykacyi mąki. (Ciąg dalszy). 5) Uwiadomienie.

Ner 22. *Dziennika mód paryskich,* wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Panna na wydaniu. (Ciąg dalszy). 2) Życie wiejskie spokojnego obywatela, przez Aug. Wilkońskiego. 3) Nowości literackie. (Ciąg dalszy). 4) Uwiadomienie. 5) Teatr.

Algier przyjmuje teraz zupełnie cywilizacyję europejską. Niedawno posłano tam przez Tulon zbudowaną w Paryżu gilotyunę; a więc egzekucyje, które dotychczas odbywano tamże jataganem, będą się teraz w sposób ucywilizowany, gilotyną odbywać. Niechże nam kto powie, że oświata góry nie bierze?

Pan Thiers w podróży po Holandyi, przybył pod wieczór do jednego miasteczka w księztwie luxemburskiém. Burmistrz tamtejszy, gdy się zgadało o Marsylii, rzekł mu między innémi: »Mamy tu już od lat dwudziestu pewnego starca z Marsylii, który nauczycielstwem się zajmuje.« — »Jakże się zowie?« zapytał Thiers. — »Margas«, odrzekł burmistrz. — »Margas? Przed czterdziestu laty, znałem niejakiego Margasa w Marsylii; chciałbym go widzieć.« To rzekłszy, udał się z burmistrzem do nauczyciela. — »Zapewne nie poznajesz mnie wpan?« rzekł Thiers do staruszka. — »Nie, nie poznaję.« — »Czy nie przypominasz sobie małego Thiersa, który w Marsylii był twoim uczniem?« — »Poczekaj no wpan«, przerwał mu Margas mowę, »mały Thiers? Tak, przypominam sobie; byłto mały pustak, który zawsze figle płatał.« — »Ten sam.« — »A więc wpan jesteś mały Thiers? Cieszy mnie to, że wpana oglądam. Jakże się wpanu powodziło na świecie?« — »Bardzo dobrze«, odrzekł były minister. — »Pozyskałżeś wpan jaką posadę?« — »I owszem.« — »Cieszy mnie to, że moja nauka pożytek mu przyniosła. Jestem już bardzo stary i nie mogę pojechać do Marsylii, ale gdy wpan tam będziesz, pozdrów odemnie wszystkich moich znajomych.« — Pan Thiers przyrzekł wykonać to zlecenie i zapytał starca nawzajem, jak mu się powodzi. — »Nie najlepiéj«, odrzekł tenże, »nie wielu mam uczniów.« — Thiers wcisnął w rękę starcowi kilka dukatów; Margas podziękował, a Thiers chciał się oddalić, ale nauczyciel zatrzymując go, rzekł: »Przebacz wpan méj ciekawości, radbym wiedzieć, czém się wpan zajmujesz? Może jesteś notaryjuszem, kupcem, bankierem?« — »Na ten raz niczém, mój przyjacielu«, odrzekł Thiers, »ale byłem ministrem.« — »A więc protestantem!« (wiadomo że *ministre*, oznacza także księdza luterskiego), zapytał Margas zdziwiony, i jako prawowierny katolik, chciał już dawnemu swemu uczniowi dać napomnienie, lecz w tém przerwał mu mowę burmistrz i zaczął opowiadać świetny zawód małego Thiersa.

Bezprzekładne powstanie na ulicy w Paryżu. Pewien podróżny, który niedawno przybył z Paryża, opisuje osobliwsze powstanie, a to na jednéj z tamtejszych ulic. Powstanie to w skutkach swoich szkodliwe, aczkolwiek teraz szczęśliwie utłumione, jednakże dla nas przestrogą będzie. Wydarzyło się takowe téj jesieni na jednéj z poprzecznych ulic, które do *Palais royal* wiodą. W tém miejscu wybrukowano dla próby całą ulicę drewnianémi klocami. Zdawało się, iż próba powiodła się nad wszelkie spodziewanie. Klocy ustawione szczelnie jeden przy drugim, formowały płaszczyznę, to jest, ściśle spojoną całość. Koła powozowe nie wygniotły żadnéj kolei, chodzono więc i jeżdzono jak po salonie. Na przypadek jakowéj emeuty, nie było żadnego niebezpieczeństwa, aby buntownicy mogli z bruku wydzierać kamienie i barykady stawiać. W drzewie zdawała się być jedność i natura konserwacyjna. Jedyną niedogodnością było to, że ludzie pieszo idący, musieli dawać baczność na przejeżdzające powozy, które żadnego turkotu nie sprawiały. Ale żeby drzewo samo przez się zbuntować się i powstać mogło, o tém się największym mędrcom w Paryżu ani śniło. Nadzwyczajne upały tego lata, wywarły i w Paryżu wielki wpływ na ludzi, zwierzęta i rośliny. Nejmocniejsze drzwi spaczyły się i popękały, a mocne klocy z twardego drzewa na ulicy, rozpychały się. W takim składzie rzeczy pocieszano się tą nadzieją, że zbliżająca się wilgotna pora roku bez wszelkiéj pracy i mozołu znowu kloc rozszerzy i próżne luki pozapełnia. Wniosek ten był prawdziwy. Po pierwszym deszczu zaraz zniknęły wszystkie szczeliny. Lecz gdy deszcz padać nie przestawał, klocy uczuły w sobie młodzieńczą siłę. Aby zerwać te więzy, któremi je w lecie ludzie i słońce skrępowało, zaczęły coraz więcéj żądać miejsca i rozszerzać się na wszystkie strony. Co większa, każdy kloc zdawał się mieć do tego tożsamo prawo, co i drugi; wyobrażenie powszechnéj równości przeszło w Paryżu w krew ludzi i w soki rzeczy nieżywotnych. Dla tego ściany domów po obu stronach ulic Paryża, nie chcą ustępować ludziom. Otóż niecierpliwe i zbuntowane klocy chciały sobie zdobyć albo w dół albo w górę wolność. Pierwsze było niepodobieństwem. Stara ziemia oparta na swojém centrum, stawiła mocny opór. Powietrze okazało się więcéj uległém. Niezuacznie w nocy podniosła się w górę cała masa kloców, jak to często na świeżo fornirowanych stołach lub parkietowanych podłogach się zdarza. Lecz nadętość ta była wcale innego rodzaju; byłato sprawa z całym lasem mocnych kloców. Mieszkańcy domów patrzyli na to z przestrachem, a pasażery z takiém uczuciem, jak gdyby widzieli przed sobą wzniesiony most zwodzony a na drugą stronę przeprawić się nie mogli. Słowem: cały bruk uliczny powstał w masie i utworzył w pośrodku most mający 9 stóp wysokości! Byłto sławny most *Rialto!* Osoby mieszkające na piérwszém piętrze, mogły na tenże most wyjść przez okno, a mieszkające na dole, mogły po pod sklepienie odwidzać swych sąsiadów. Jak wielkiem było to powstanie, tak wielki był i rozruch przez nie sprawiony. Nadaremne były wszelkie usiłowania poskromić tych buntowników, jeden stał za drugiego, żaden nie chciał się ani poddać ani na krok ustąpić. — Tak nadzwyczajnéj zgody nie widziano nigdy w uliczném powstaniu Paryża. — Nakoniec gdy się przekonano, że rozumne przedstawienia nie czynią najmniejszego wrażenia, użyto przemocy, lecz ta nie mogła inaczéj jak tylko zupełném zniszczeniem udowodnić swe prawo. — Siekierami i toporami wycięto więc w pień wszystkich powstańców, a skutkiem tego będzie, że podobno na przyszłość bruk drewniany wszelkie uzyskane prawa i przywileje na zawsze straci.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.